Świat Młodych
GAZETA HARCERSKA
Nr 4 (1892) [illegible] Cena 50 gr

Rozmawiamy z Jerzym Połomskim

Ulubionym miejscem spacerów Jerzego Połomskiego, jak i wszystkich warszawiaków, są wąskie uliczki Starego Miasta.

CHCĘ ŚPIEWAĆ O WARSZAWIE

OPRACOWUJĘ trzeci z kolei long-play pod tytułem „Tutaj w Warszawie" — mówi Jerzy Połomski. — Znajdą się w nim m. in. trzy piosenki: „Co będzie za Żelazną Bramą", „W Warszawie zabawa" i „Tutaj w Warszawie". Bardzo chciałbym zasłużyć sobie na miano piosenkarza warszawskiego. W stolicy mieszkam od lat, z każdych zagranicznych wojaży wracam do niej ogromnie stęskniony i uważam ją za najpiękniejsze miasto świata.

Ciąg dalszy na str. 3

Już w następnym numerze

SZKOŁA JAZDY „ŚWIATA MŁODYCH"

Już w następnym numerze rozpoczynamy **Szkołę Jazdy „Świata Młodych"**! Znajdziecie w niej wszystkie najważniejsze przepisy drogowe, które musi znać każda dziewczyna i każdy chłopak — dosiadający roweru!

Równocześnie przypominamy, iż 15 stycznia 1970 r. o godzinie 8.44 usłyszycie w Programie I Polskiego Radia specjalną audycję o ruchu drogowym!

SERDECZNA PAMIĘĆ

Chociaż dzielą nas tysiące kilometrów, nie zapominamy o naszych rówieśnikach wietnamskich. Nasz szczep harcerski przy Szkole Podstawowej Nr 8 w Świętochłowicach podjął akcję niesienia pomocy dzieciom walczącego Wietnamu. Harcerze zgromadzili przybory szkolne, które niedawno zostały wysłane do Ambasady Demokratycznej Republiki Wietnamu w Warszawie. Stąd powędrują do dzieci, które uważamy za swoich bliskich przyjaciół.

Szkoła Podst. Nr 8
Świętochłowice

TAJEMNICA SYBERYJSKIEJ TAJGI

KABINĘ nawigacyjną zalegał półmrok. Jedynie wskazówki przyrządów świeciły fosforyzująco. Na głównej ścianie czerniał olbrzymi ekran.

— Tak, do trzeciej od Słońca dzieli nas jeszcze pół mln. kilometrów — odezwała się pierwsza postać siedząca w fotelu naprzeciw ekranu.

— Silniki hamujące są już włączone. Za trzy minuty wejdziemy na orbitę okołoplanetarną. Sondy automatyczne zbadają skład atmosfery — dodała druga postać.

Po czym, gdy na ekranie ukazała się Ziemia, przybysz przesunął jedną z dźwigienek na pulpicie sterowniczym. Kabinę wypełniły lekkie drżenia wibracyjne. Astrolot wszedł na orbitę okołoziemską. Po dwóch okrążeniach koordynator pokładowy wyznaczył miejsce lądowania. Gigantyczny pocisk galaktyczny wchodził powoli w atmosferę ziemską.

— Czy powłoka gwiazdolotu wytrzyma tarcie? — spytała pierwsza postać. — Temperatura jest coraz wyższa.

Jakby w odpowiedzi astrolotem wstrząsnął wybuch.

— Drugi silnik hamujący nie działa! — dźwięczał po kabinie głos robota-informatora — koordynator zablokował układ sterowniczy...

Dalsze słowa zagłuszyły inne wybuchy. Gwiazdolot, niczym rozżarzony meteor, spadał ku Ziemi. W kabinie przybysze próbowali walczyć z bezwładną rakietą, jednak następny wstrząs pozbawił ich czucia. Jeden z kosmopodróżników całym ciałem runął na przezroczystą kopułkę obok fotela. Na kilka sekund przed zderzeniem uruchomił kulisty miotacz antymaterii. Mimo że działał ułamek sekundy, wystarczyło to, by główny silnik atomowy pod wpływem olbrzymiej temperatury eksplodował. Części astrolotu wbiły się w rozmiękłą ziemię, jak ostrze rubinowego światła lasera w metal.

Tak zakończyła się wyprawa przybyszów z kosmosu. Właśnie jej ślady odkrył uczony L. A. Kulik, gdy badał miejsce spadku „meteorytu tunguskiego".

Andrzej Hanek
Kraków
ul. Chocimska 33

Ciąg dalszy dyskusji o tajemnicy „meteorytu tunguskiego" na str. 8.

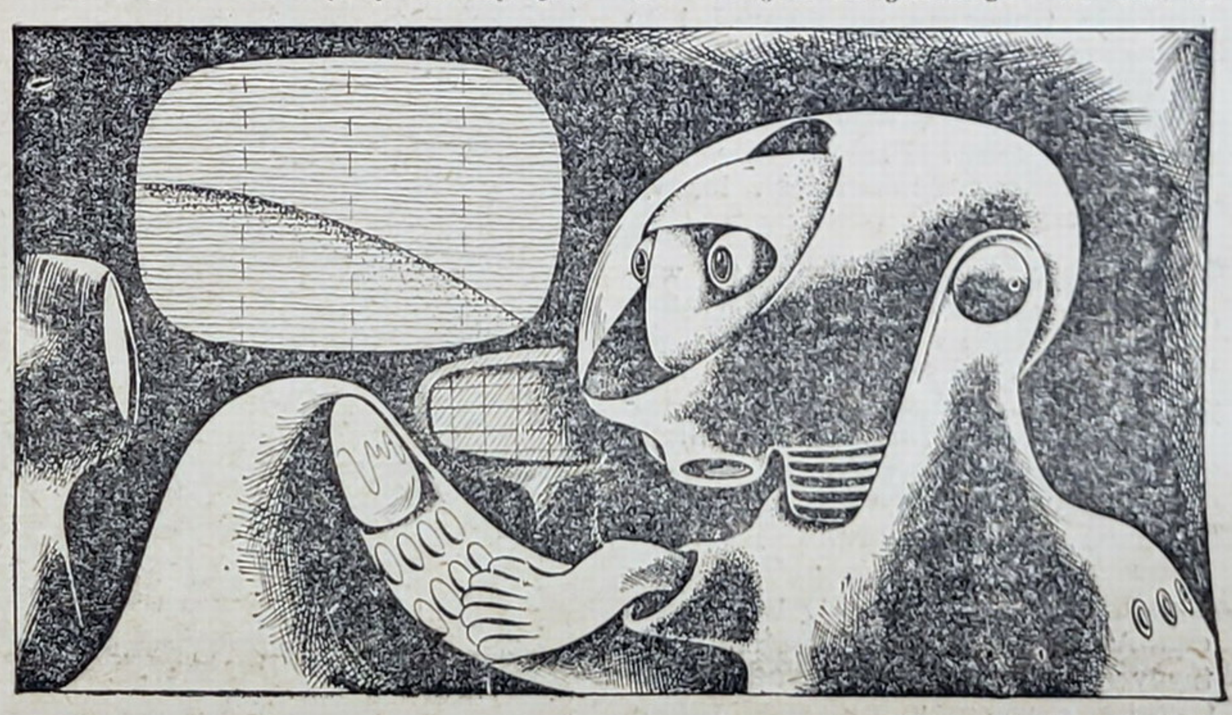

Rys. W. Lewiński

Pierwsza ruszyła ELEKTROWNIA

WARSZAWSKA Elektrownia płonęła dwukrotnie. Po raz pierwszy na początku wojny, we wrześniu 1939 roku. Dostarczając tak potrzebną energię elektryczną oblężonemu miastu, dwudziestego piątego dnia wojny została ostrzelana i zniszczona pociskami artylerii niemieckiej. Wyremontowana, po raz drugi spłonęła w roku 1944, w czasie Powstania Warszawskiego. Powstańcy zdając sobie sprawę z dużego znaczenia jej dla miasta zdobyli ją już 1 sierpnia, w pierwszym dniu powstania. Pracownicy elektrowni dosłownie pod kulami utrzymywali maszyny w ruchu, kiedy w jednym z licznych nalotów udało się hitlerowcom zbombardować nastawnię — „serce" elektrowni.

Po upadku powstania pracownicy elektrowni — ci, który nie zginęli — dostali się do niewoli i zostali wywiezieni z Warszawy. Ale kiedy w 1945 roku ruszyła ofensywa radziecka i Warszawa stała się wolna, wrócili. Wrócili, by jak najszybciej odbudować elektrownię, by spalonemu i zburzonemu miastu zapewnić światło. By mogły pracować szpitale, wodociągi, zakłady pracy.

O roku 1945, o dniach odbudowy, opowiada pan **Władysław Skowyra.** Przepracował w elektrowni 30 lat, i we wrześniu 1939, i w czasie okupacji, i w dniach powstania. Był jednym z tych, którzy po wyzwoleniu stolicy pierwsi przystąpili do odbudowy.

Polscy robotnicy i radzieccy żołnierze przy odbudowie. Czwarty z prawej, w pierwszym rzędzie stoi major Partykiewicz — ten, który tak wiele zrobił, by Warszawa miała światło.

Na początku — gołymi rękami

— Pierwsze kroki skierowałem do elektrowni — wspomina pan Skowyra. — Wiedziałem, że jest zniszczona ale rzeczywistość przeszła moje oczekiwania. Osmalone domy świeciły pustymi oknami. Poplątane szyny i rury stalowe sterczały w niebo. Zniszczona była hala maszyn. Mimo że Niemcy nie zdążyli zabrać, ani wysadzić w powietrze turbogeneratorów (urządzeń wytwarzających prąd elektryczny), żaden z nich nie nadawał się do użytku. Najważniejszych działów — nastawni i rozdzielni — po prostu nie było. Wokół stosy gruzów i złomu, oraz przypominające trwającą wojnę — mogiły powstańców.

Na terenie zakładu spotkałem wielu pracowników z dawnej załogi — moich kolegów. Wszyscy wiedzieliśmy jedno: elektrownia musi ruszyć, że trzeba ją odbudować i to własnymi siłami. Na pomoc nie można było liczyć. Władze też nie miały żadnych środków. Więc jak? Czym? Gołymi rękami? Przecież nie było narzędzi, nawet takich jak łopaty, kilofy, czy łomy.

Pierwsze co zrobiliśmy, to wygrzebaliśmy spod gruzów, nierzadko właśnie gołymi rękami — narzędzia. Z dnia na dzień było nas coraz więcej. Przychodzili ciągle koledzy powracający do Warszawy. A kiedy było już trochę najprostszych narzędzi, ruszyła robota. Z kilku turbogeneratorów wybrano jeden — najmniej zniszczony — TG-6. Podzieliliśmy ludzi na brygady. Mechanicy remontowali turbinę, elektrycy urządzenia i przewody elektryczne, a wszyscy inni spod rumowisk wydobywali potrzebne części urządzeń.

Ale robota utknęła. Zabrakło koniecznych aparatów spawalniczych, by rozciąć poskręcane wybuchami bomb stalowe konstrukcje, by wykonać nowe. Konieczna też była energia elektryczna do uruchomienia choć jednego dźwigu, choć jednej maszyny remontowej. Skąd ją zdobyć?

Pomogli nam Rosjanie

I wtedy zwróciliśmy się do dowództwa stacjonujących w Warszawie wojsk radzieckich. Rosjanie bardzo szybko i życzliwie ustosunkowali się do naszej prośby. Po prostu przysłali nam spawaczy z tak potrzebnym sprzętem. Na drugim brzegu Wisły ustawiono polową „elektrostancję". To był stary, zmieniony na kotłownię parowóz, za którym w wagonie kolejowym umieszczony był turbogenerator małej mocy. Mieliśmy więc energię na własne potrzeby. Ale najlepszym prezentem byli oddelegowani do nas fachowcy — żołnierze radzieccy — z zawodu elektrycy. Ich szefem był major Armii Czerwonej, w cywilu inżynier — pan Partykiewicz. Major Partykiewicz jeździł po całym wyzwolonym kraju i szukał narzędzi, części maszyn. Teraz robota ruszyła z kopyta.

Ja pracowałem przy budowie nowej nastawni. Ponieważ stara była tak zniszczona, że nie było co remontować, postanowiliśmy wykorzystać do tego celu jedną z podstacji remontowaną na Pradze. Udało się. Nie był to oczywiście cud techniki, ale na pierwszy rozruch starczyło.

Minął luty, potem marzec. Powoli, pokonując różne trudności wyremontowaliśmy wybrany turbogenerator. Oczyszczono kotłownię, zreperowano kotły. Robota była ciężka. Pracowaliśmy po 14 godzin na dobę, a czasami dłużej. Nierzadko bywało tak, że po wyjściu do pracy nie widziałem żony i dziecka przez 3 dni. A jedynym wynagrodzeniem była miska komiśnej zupy. Ale nikt nie myślał o wynagrodzeniu. My, starzy pracownicy, mówiliśmy:

— Jak ruszy nasza elektrownia, to to i nam będzie lepiej.

Gdy skończyliśmy prace przy generatorze, trzeba było popracować jeszcze w mieście: wykopać uszkodzone przewody i połączyć podstację z elektrownią. I to zrobiliśmy!

26 kwietnia — światło dla Warszawy

Ruszył pierwszy turbogenerator — TG-6. Ten dzień był dla nas wielkim świętem. Ale nie oznaczało to, że można spocząć na laurach. Trzeba było z nie mniejszym pośpiechem przygotować następne zespoły. Trzeba było modernizować niektóre urządzenia wykonane prowizorycznie, by przygotować je do potrzeb tak rozwijającego się miasta, jakim była Warszawa.

Ostatecznie usunęliśmy wszelkie ślady wojny do końca lat pięćdziesiątych. Teraz Warszawa ma 3 elektrownie — znacznie nowocześniejsze. Ale ja największą sympatią darzę tę starą, w której tyle pracowałem.

I mimo że praca w niej przez ostatnie dwadzieścia lat obfitowała w wiele ciekawych wrażeń zawsze najchętniej wspominam rok 1945 — rok odbudowy.

Wspomnienia pana **Władysława Skowyra**, pracownika Warszawskiej Elektrowni spisał: **JERZY MICHALSKI.**

Foto: autor i Archiwum Elektrowni

Tak wygląda obecnie Elektrownia Warszawska, a właściwie elektrociepłownia, gdyż od kilku lat ogrzewa również warszawskie mieszkania.

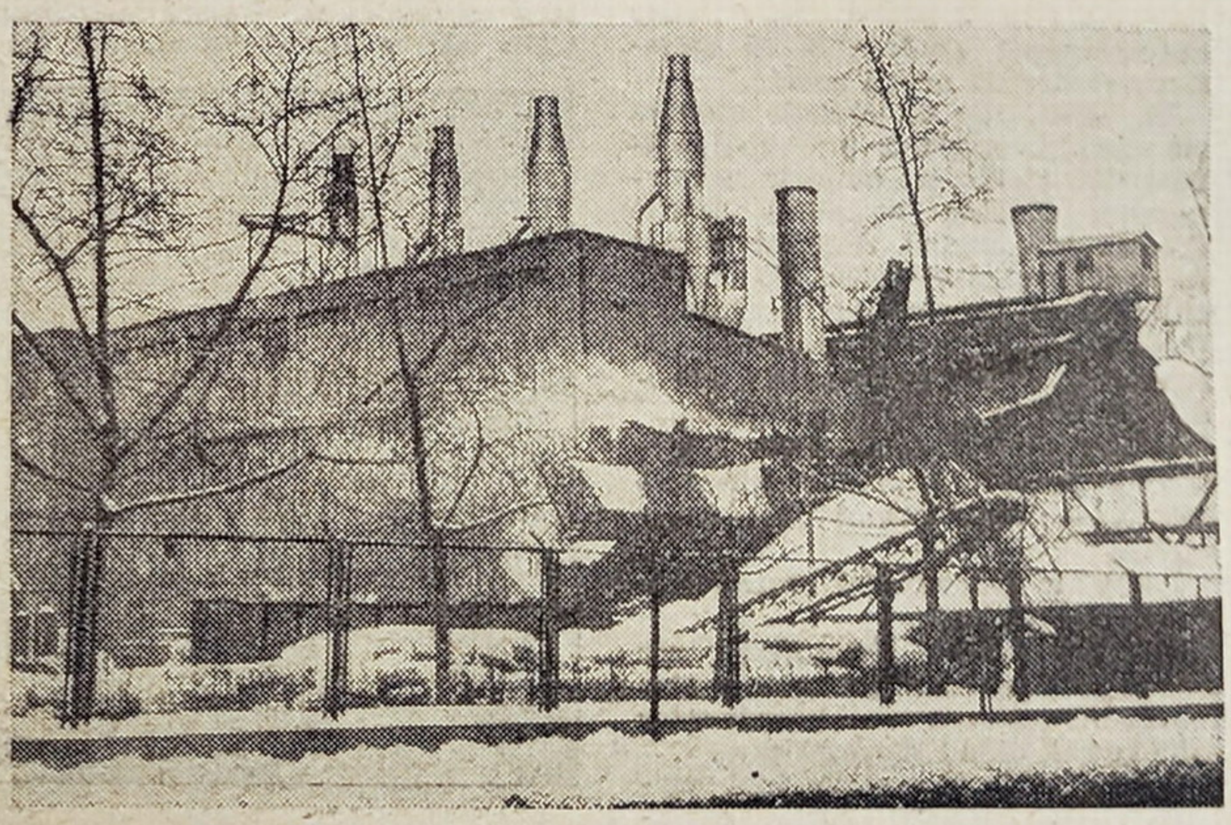

... Wszyscy wiedzieliśmy jedno: elektrownia musi ruszyć — mówi p. Skowyra.

CHCĘ ŚPIEWAĆ O WARSZAWIE

C.d. ze str. 1

— Stąd te nowe warszawskie opracowania? — pytam pana Połomskiego.

— Już od dawna nosiłem się z zamiarem wzbogacenia swego repertuaru o piosenki typowo warszawskie. Powstaje ich tak wiele. Te różne warszawskie mosty, czerwone autobusy, mieszkania na Mariensztacie... Takie piosenki są bliskie sercu nie tylko warszawiaka, ale każdego Polaka. A tym chętniej je się śpiewa, gdy się jest z dala od kraju.

— No właśnie! Ostatnio pan wiele podróżował.

— Tak! Spędziłem 3 miesiące na koncertowych wojażach po Związku Radzieckim. Byłem też na Festiwalu w Bułgarii, występowałem dwukrotnie w Telewizji Berlińskiej. Wkrótce wyjeżdżam na Międzynarodowy Festiwal Piosenki do Szwajcarii. Wiosną koncertować będę w Wielkiej Brytanii a latem we Francji. Jesienią prawdopodobnie wyjadę (po raz czwarty) do Stanów Zjednoczonych.

— To rzeczywiście oszałamiające plany. A kiedy znowu zobaczymy i usłyszymy pana w Warszawie?

— Śpiewałem w Telewizyjnej Giełdzie Piosenki z ogromną satysfakcją, bo piosenka prezentowana przeze mnie pt. „Czy moja", autorów: Marka i Kreczmara, zdobyła I miejsce. Wystąpiłem kilkakrotnie w telewizji (w Rewii Polskich Nagrań i w Tele-Echu). Śpiewam na uroczystym koncercie poświęconym Warszawie. Jeśli czas pozwoli, może uda mi się wystąpić z własnym recitalem w Sali Kongresowej. Planuję też kilka nowych nagrań radiowych. Zamierzam obok piosenek warszawskich opracować kilka piosenek w stylu francuskim z repertuaru Jacques'a Brela. Jak np. „Amsterdam", „Rodzinny kraj", „Nie opuszczaj mnie". Są to ambitne, poetyckie i refleksyjne utwory. Takie lubię.

*

Jerzy Połomski należy do czołówki naszych najpopularniejszych piosenkarzy. Ciągle zaskakuje nas nowymi opracowaniami repertuaru i różnorodnością aktorskich interpretacji. Piosenki śpiewane przez Połomskiego zwykle stają się szlagierami i przez długi czas nie schodzą z radiowych i telewizyjnych List Przebojów.

Najbardziej odpowiadają mu piosenki tzw. scenariuszowe, których tekst wzrusza i skłania do zadumy. Do takich należą: „Jak to dziewczyna", „Ściany mają uszy", „Mój dom na ciebie czeka", „Czy moja"...

Jerzy Połomski jest ogólnie lubiany ze względu na ujmujący i naturalny sposób bycia na estradzie. Młodzi słuchają chętnie jego piosenek — tych rytmicznych, żywiołowych i wesołych. Starsi zaś — lirycznych i nastrojowych. Wokalny talent i aktorskie umiejętności, jakie wyniósł z Wyższej Szkoły Aktorskiej (gdzie studiował na wydziale estradowym), a poza tym ogromna pracowitość i obowiązkowość sprawiły, że Połomski cieszy się zasłużoną popularnością i osiąga od lat sukcesy na scenie.

Na liczne prośby naszych czytelników (a zwłaszcza czytelniczek) zamieszczamy dziś ten wywiad wraz z fotosem piosenkarza i tekstem jednej z jego warszawskich piosenek.

A. WIELGOŁAWSKA

Foto: J. Popłoński

Tutaj w Warszawie

SŁOWA: ROMAN SADOWSKI
MUZYKA: J. A. MAREK

Codziennie, niezmiennie
od świtu do nocy
dzień się starzeje
Codziennie, niezmiennie,
chmurami, gwiazdami,
niebo siwieje...
Codziennie, niezmiennie
wciąż dłuższa i dłuższa
staje się zima...
Codziennie, niezmiennie
sam siebie pytam:
Co mnie tu trzyma?
Refren:
Chociaż patrzyłem przez
bielmo okien,
chociaż widziałem rude
rynsztoki,
tutaj zostałem...
Chociaż widziałem obłudne
lata
Z niebem żebraczym w
dziurach i łatach
tutaj zostałem.
I kiedy później czarne
plakaty
strzelały każdej nocy do
kwiatów
tutaj zostałem.
I kiedy później w gniewie
i męce
o broń wołały rozpaczy ręce
tutaj zostałem...
I choć tak wiele jest we
mnie cienia
i miłość swoją i swe marzenia
tutaj zostawię...
Kiedy, być może, kogoś
zasmucę,
nigdzie nie pójdę, nigdzie nie
wrócę
nigdzie nie pójdę,
nigdzie nie wrócę,
tutaj zostanę
w mojej Warszawie.
Codziennie, niezmiennie
przechodzą, odchodzą
twarze stygnące...
Codziennie, niezmiennie
wciąż niżej i niżej
idę za słońcem...
Codziennie, niezmiennie
próbuję rozplątać
ręce związane...
Codziennie niezmiennie
wiem, że na pewno
tutaj zostanę...

Książka dla ciebie

„ALBATROS" NA TROPIE POWSTAŃCZYCH PRZESYŁEK

W ZIMOWY ranek 17 stycznia 1945 roku tuż za wojskiem ciągnęli do zburzonego miasta warszawiacy. Szli wiele kilometrów, aby sprawdzić, co ocalało z ich dobytku, z nadzieją, że spotkają bliskich, że zdobędą jakieś wiadomości o rozproszonej rodzinie. Na ruinach, w miejscu dawnych swoich domów, czytali na murach kredą lub węglem pisane zdania: „Żyję, jestem u babci — Fela", „Ojciec nie żyje, jesteśmy w Milanówku".

Pan Stanisław Giers też powrócił do swego mieszkania na Puławską. Wokół ruiny , wiatr roznosił po pustych ulicach strzępy papierów, niedopalonych szmat. W brudnym śniegu walały się listy z pieczątką — „Harcerska Poczta". Pan Giers, podoficer broni w batalionie „Karpaty", walczył w czasie powstania i wie, że są to listy, które w walczącym mieście roznosili harcerze. Widać rozbito mokotowski oddział poczty, a może wysypały się z torby małego listonosza trafionego kulą?

Zebrał starannie ostemplowane kartki, oczyścił z błota. Usiłował znaleźć adresatów, ale gdzie tam kogo szukać w zburzonym mieście. Listy czekały na szczęśliwy przypadek. Dopiero w roku 1967 pan Stanisław Giers, warszawski drukarz — linotypista z Prasowych Zakładów Graficznych RSW „Prasa", oddał te listy „Albatrosowi".

„Albatros" zaś dwadzieścia parę lat temu, nim przybrał ptasi pseudonim, był zwykłym Jurkiem Kasprzakiem, uczniem 7 klasy. Pseudonim wymyślił nie dla zabawy. W tajnym harcerstwie w czasie okupacji nawet najmłodsi musieli się konspirować. Kiedy nadeszła godzina „W" i wybuchło powstanie, „Albatros" stał się żołnierzem. Był łącznikiem Harcerskiej Poczty Polowej. Tak więc listy pan Giers oddał we właściwe ręce.

Dziś „Albatros" jest dziennikarzem, panem Jerzym Kasprzakiem. Jest naszym redakcyjnym kolegą i nazywamy go „Kasprzaczkiem". Nasz kolega nie byłby jednak harcerzem, gdyby zapomniał, że był niegdyś „Albatrosem". Postanowił więc swój harcerski obowiązek spełnić do końca i raz jeszcze został listonoszem. Listy, choć z ćwierćwiekowym opóźnieniem, dotarły do adresatów lub ich rodzin. Ile było przy tym wspomnień, ile łez! Jerzy Kasprzak opisał swoje przygody w czasie powstania, pracę w harcerskiej poczcie polowej i niezapomniane wrażenia ze spotkań z ludźmi, gdy teraz dopiero doręczał powstańcze listy. W ten sposób powstała książka — dokument, której wszyscy bohaterowie są prawdziwi, a ich losy należą już do historii.

Przeczytacie w książce „Albatrosa" o tym, jak dwadzieścia pięć lat temu wyglądało dzieciństwo waszych rodziców; jak pracowało tajne harcerstwo, tzw. „Szare Szeregi" i najmłodsza ich grupa „Zawiszacy". Zawiszakiem był niegdyś autor książki pt. „Tropami powstańczej przesyłki" — Jerzy Kasprzak. **Książkę wydał „Czytelnik", kosztuje 11 zł.** **(bt)**

AUTOSTOPEM DO SZKOŁY

Mroźna i śnieżna zima utrudnia Wam dotarcie do szkoły i powrót do domu. Pragniemy więc przyjść Wam z pomocą. Oto „lizak", który radzimy wyciąć, nakleić na karton, skleić na pół i dorobić uchwyt z drewna lub z tektury. W drodze do szkoły polecamy stanąć na poboczu szosy lub drogi i nadjeżdżającemu kierowcy pokazać „lizak", gdzie napisane jest: „STOP! PROSZĘ O POMOC"!

Gdy kierowca spełni Waszą prośbę, pokażcie mu odwrotną stronę lizaka, gdzie jest napis: „DZIĘKUJĘ UPRZEJMIE"! Kierowcy także można wręczyć „banknot" uprzednio wycięty ze „Świata Młodych".

PANIE KIEROWNIKU!

Na najbliższym porannym apelu szkolnym prosimy, aby Pan poinformował o trwającej ogólnokrajowej akcji: „KIEROWCO — POMÓŻ DZIECKU". PROSIMY TEŻ O: podstemplowanie naszych „banknotów", które dzieci wręczają kierowcom za podwiezienie do szkoły. Te „banknoty" biorą udział w losowaniu nagród dla kierowców!

TWÓJ „BANKNOT"

DZIECKO (imię i nazwisko, adres)

. . . . . .

. . . . . .

DZIĘKUJE za pomoc w dniu . . .

. . . . . .

KIEROWCY (imię, nazwisko i adres kierowcy oraz nr wozu). . . .

. . . . . .

. . . . . .

. . . . . .

Miejsce na pieczęć szkoły

PANIE KIEROWCO! Proszę wysłać tę kartkę listem poleconym albo doręczyć w okresie od 1 do 15 maja do Wydziału Komunikacji Powiatowej Rady Narodowej.

Dziękujemy „Świat Młodych"

Świat Młodych

Czy dzień powszedni, czy niedziela,
ja mam w kierowcy przyjaciela!

TWÓJ „BANKNOT"

Na wzór tego kuponu wykonaj dowolną liczbę kartek na brystolu albo na kartkach z zeszytu i wypisz tam swoje imię, nazwisko i adres.

Poproś w szkole o podstemplowanie każdej kartki.

Jeżeli skorzystasz z uprzejmości kierowcy, który Cię podwiezie z domu do szkoły albo ze szkoły do domu, wręcz mu za każdy kurs jedną kartkę. To jest Twój „banknot" za przejazd.

Kierowcy wyślą te kartki do Wydziału Komunikacji PRN i wezmą udział w losowaniu nagród.

KANDELA

KILKA lat temu odbyła się w Warszawie dość niecodzienna uroczystość. W domu imienia rodziny Matysiaków zebrało się najświetniejsze grono aktorów, pisarzy i działaczy społecznych. Wszyscy oni przybyli tutaj tylko po to, aby wziąć udział w przekazaniu znanemu w całej Polsce Domowi Matysiaków niezwykle cennego daru. Ofiarodawcą był skromny pan w średnim wieku, a sam Prezes Komitetu do Spraw Radia i Telewizji, Włodzimierz Sokorski, reprezentujący zebranych, powiedział wtedy między innymi:

„Jestem głęboko wzruszony tym pięknym darem artysty rzemieślnika — Piotra Mielczarka... Chciałbym jednocześnie podkreślić samą niezwykłość tego rodzaju aktu, niezwykłość polegającą i na miłości do swego zawodu, i na głębokim zrozumieniu potrzeb społecznych..."

Ofiarodawca, mistrz cechu elektryków, „pan Piotr" — jak go nazywają bliscy znajomi, zaprojektował i wykonał dla Domu Matysiaków kompletne oświetlenie wnętrz. Było tych lamp, kinkietów, żyrandoli równe 150 sztuk! I choć może przy okazji dawania prezentów nie powinno się mówić o ich cenie, to jednak chciałbym, abyście ją znali. Wartość owych pięknych przedmiotów, wykonanych z iście benedyktyńską dokładnością, przewyższała 160 tysięcy złotych! Nie były to więc — jak się już teraz domyślacie — zwykłe lampy, jakie kupuje się w sklepach. Takich **„Specjalistyczna Pracownia Artystycznych Wyrobów Oświetleniowych"**, którą kieruje pan Piotr — nie produkuje.

Króluje tu brąz, kryształ i... francuskie koronki

Dziwna to pracownia. Przypadkowy przechodzień, zajrzawszy przez szybę do zakładu przy ulicy Emilii Plater w Warszawie, mógłby sądzić, że to ślusarnia. Długie stoły z przykręconymi imadłami, tokarki, szlifierki, narzędzia do obrabiania metali.

— Każdy detal obrabiamy ręcznie — mówi mistrz Piotr. — Cyzelowanie odlewu to w gruncie rzeczy rzeźbienie w metalu. A niektóre lampy składają się z kilkudziesięciu, czy nawet kilkuset elementów. Każdy z nich jest więc ręcznie opracowany, potem łączy się w podzespoły, które z kolei montuje w całość. W ten sposób powstaje gotowy przedmiot, jedyny w swoim rodzaju. Przy niektórych wstępnych pracach pomagamy sobie maszynami, ale ostateczny kształt każdej części nadaje człowiek. Nad niektórymi elementami trzeba popracować i miesiąc, a nawet dłużej...

— A jak wygląda projektowanie kolejnego dzieła? — pytam.

— Najpierw przeglądam literaturę, niestety, bardzo skąpą. Potem robię szkice elemetów i całości. To trwa dość długo. Następnie trzeba zrobić modele poszczególnych części — w zależności od potrzeb — w ołowiu, gipsie, drewnie itp. Potem formy, w których odlewa się te detale z metalu. Dalej następuje retusz, cyzelowanie, robienie nowych doskonalszych form, nowych odlewów — tak długo, aż uznam, że wszystko jest już w porządku. Wtedy dopiero robi się ostateczne odlewy i...

— I wtedy cała robota dopiero przed panem?

— No, powiedzmy pewna jej część. Po ostatecznym wykończeniu metalowych części, łączy się je niejednokrotnie z elementami z kryształu, porcelany, marmuru i instaluje punkty świetlne. Czasami, w zależności od rodzaju lampy, potrzebny jest jeszcze abażur. Używam tylko szlachetnych tkanin; piękna, stylowa lampa, np. stojąca, nie może być wykończona byle czym...

*

Oglądam dziesiątki abażurów o dziwnych kształtach i niezwykłych kolorach. Tkaniny, którymi obciągnięto stelaże, są rzeczywiście zachwycające. Czuję się jak w prawdziwym muzeum. Nie znam nazw tych materiałów, poznaję tylko delikatne francuskie koronki...

Nie dziwię się już teraz, że prace mistrza Piotra wystawiane są na całym niemal świecie i wszędzie wzbudzają niekłamane zachwyty. Wystawy w Belgradzie, Londynie, Mediolanie, Monachium, Lipsku, Moskwie, Florencji, Sztokholmie, Wiedniu i Ameryce Południowej — rozsławiły imię polskiego rzemiosła artystycznego i przyniosły uznanie dla twórcy tych niezwykłych dzieł zanikającej już sztuki.

Dokument prawdę ci powie...

Siedzę teraz w pracowni i przeglądam grube teczki z dokumentami. Wszystko posegregowane, podzielone na działy. Zamówienia, podziękowania, wycinki z prasy krajowej i zagranicznej, katalogi zdjęć.

Oto cały plik podziękowań za wypożyczenie stylowych lamp do różnych filmów: m. in. „Przygoda z

ŻYRANDOL — ozdobny, kilkuramienny świecznik wiszący u sufitu.

KANDELABR — duży, kilkuramienny świecznik, do stawiania np. na stole czy nawet podłodze.

KINKIET — lampa przytwierdzona do ściany, uzupełniana czasami płaszczyzną odbijającą światło.

AMPLA — wisząca lampa ze szklanym kloszem osłaniającym światło od dołu.

piosenką", „Marysia i Napoleon", „Popioły", „Klub prof. Tutki"...

W drugiej teczce dokumenty dotyczące wykonanych prac, takich jak np.: kompletne stylowe oświetlenie wnętrz zabytkowego ratusza w Zamościu, czy muzeum w Łowiczu. Setki zrealizowanych zamówień dla urzędów, kościołów, ambasad, muzeów i innych lokali publicznych...

Dalej podziękowania za dary. Było ich mnóstwo. Oprócz wspomnianego Domu Matysiaków, Teatr Wielki w Warszawie dziękuje za królewski prezent: ogromny i wspaniały kryształowy żyrandol wiszący pod stropem głównej sali. Stołeczna Rada Narodowa składa podziękowanie za żyrandol w stylu Księstwa Warszawskiego zdobiący salę prezydialną. Jedna ze szkół pozawarszawskich dziękuje za przekazanie wielkiej ilości urządzeń elektrycznych, wykorzystywanych przy nauce. Dziesiątki listów mówiących o czymś więcej niż o kunszcie artystycznym, którym się tak zachwycałem.

Wszystko to razem: rozmowa, dokumenty i to, co sam widziałem w pracowni — dały mi dopiero ostateczny obraz człowieka, jakim jest mistrz Piotr. Myślę więc, że nie muszę już niczym uzupełniać tego, co napisałem. Chciałbym tylko dodać, na zakończenie, że w czasie tej wizyty zrozumiałem na nowo sens starej i mądrej prawdy, że **„sztuka uszlachetnia"**.

JERZY DĄBROWSKI

Fotografie ze zbiorów Piotra Mielczarka

...ABRY mistrza Piotra

Jedno z największych dzieł mistrza Piotra, stylowy żyrandol dla zabytkowego kościoła w Rokitnie. Waży 375 kg, wysoki jest na 4 metry, średnica dolnej kondygnacji 3 metry i świeci się w nim równocześnie 175 żarówek różnej mocy! Praca nad nim trwała pełny rok.

Z tej pracowni wyszło już tysiące lamp. Dwie z nich: żyrandol o nazwie „Pokój" i lampa stojąca w kształcie sputnika należały kiedyś do Jurija Gagarina. Mistrz Piotr ofiarował je osobiście pierwszemu kosmonaucie świata w czasie jego wizyty w Warszawie.

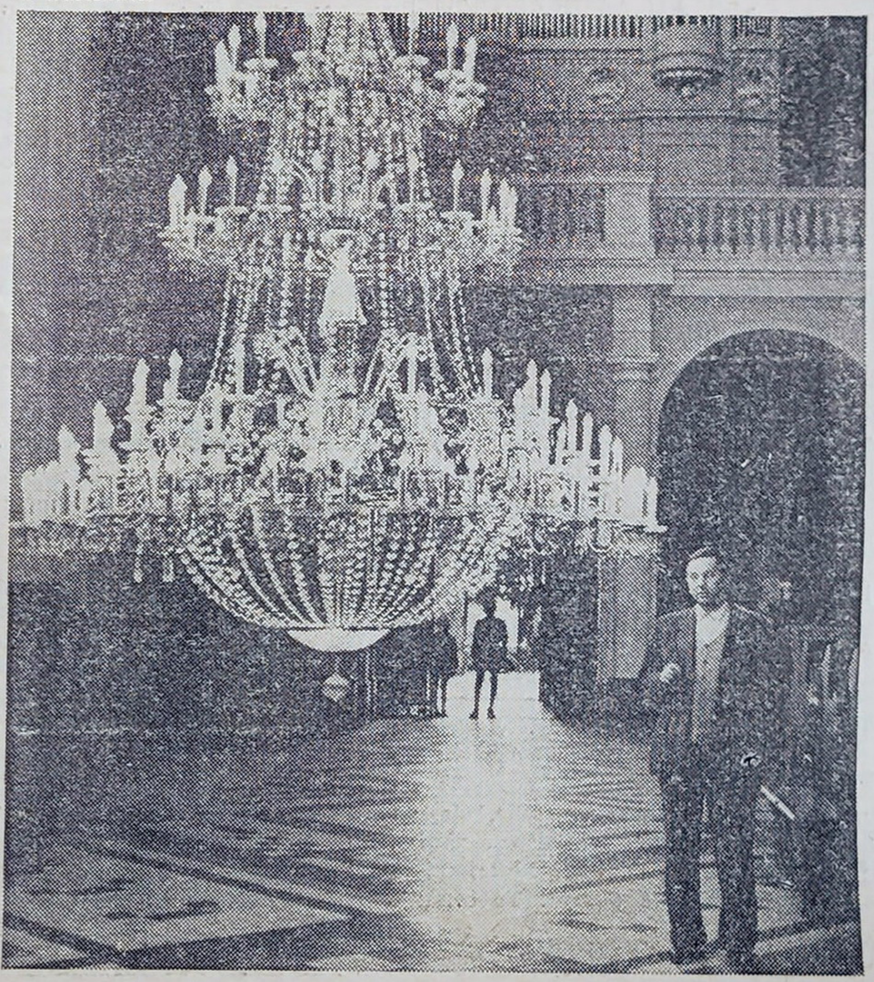

Wydarzenia roku w polskiej nauce i technice

Rok ubiegły był niezwykle ważny dla rozwoju polskiej nauki i techniki. Poniżej zamieszczamy przykładowo kilka osiągnięć naszych uczonych, konstruktorów, lekarzy...

● **Podłączenie żywej wątroby zwierzęcej** do organizmu człowieka było wielkim osiągnięciem medycyny. Zabiegi te, zakończone całkowitym powodzeniem, uratowały życie 2 ludziom. Były one pierwszymi w kraju i jednymi z nielicznych na świecie. Przeprowadził je zespół lekarzy z I Kliniki Medycznej i Zakładu Chirurgii Doświadczalnej PAN przy współpracy z Kliniką Chorób Zakaźnych AM w Warszawie.

● **Kopalnia Węgla Kamiennego „Zofiówka"**, uruchomiona w rybnickim okręgu węglowym, o wydobyciu dziennym ok. 12 tys. ton, jest jednym z najnowocześniejszych obiektów tego typu w Europie. Zastosowano w niej najnowsze rozwiązania techniczne i organizacyjne wypróbowane w oddanej do użytku przed rokiem kopalni — automacie „Jan".

● **Najnowocześniejsze elementy i układy sterownicze** powstały w Instytucie Technologii Elektronowej PAN. Profesor dr Witold Rosiński opracował nowe elementy mikrofalowe stosowane w układach elektronicznych, a doktor Henryk Lachowicz — elenkowarstwowe elementy magnetyczne sztucznej pamięci, które znajdą zastosowanie w polskich komputerach.

● **Metody analizy i syntezy mowy polskiej**, ze szczególnym uwzględnieniem programowania cyfrowego procesu syntezy i rozpoznawania głosu człowieka, została opracowana przez doc. dra Jassema. Znajdzie ona zastosowanie m. in. w indentyfikacji głosów ludzkich.

● **Teoria materii jądrowej**, ma mniej tajemnic dzięki badaniom fizyka, prof. dra Janusza Dąbrowskiego, które pchnęły naprzód wiedzę człowieka o strukturze jądra atomu. Poznanie tajemnicy jego budowy służy praktycznemu wykorzystaniu energii jądrowej.

● **Operacja transplantacji serca**, przeprowadzona została po raz pierwszy w Polsce przez lekarzy z II Kliniki Chirurgicznej AM w Łodzi, kierowanej przez prof. dra Jana Molla. Przeszczepione serce podjęło pracę i pełniło swe funkcje przez 3 godziny. Mimo częściowego tylko powodzenia, ten niezwykle skomplikowany zabieg stanowi dalszy krok w rozwoju polskiej medycyny.

ANATOLIJ ALEKSIN

BARDZO STRASZNA HISTORIA

Opowieść kryminalna, którą napisał Alik Dotkin

14.

ZRELACJONOWAŁA nam punkt po punkcie: jak wsiedliśmy do pociągu, jak z niego wysiedliśmy, jak dotarliśmy do willi, poznaliśmy Bratanka i wreszcie jak „o jedenastej czterdzieści czasu miejscowego zatrzasnęły się za nami drzwi..."

Byłem jej wdzięczny za ten nieprzeciętny spokój. A przede wszystkim za to zdanie, które nasunęło mi... Ale nie będę wybiegał naprzód. Choć bardzo mnie korci, by to uczynić.

— Kontynuujemy zebranie — oznajmiłem.

— Czy nie lepiej posiedzieć cicho? — spytał Nieboszczyk. — Czuję, że twoja myśl zaczęła pracować. Nie będziemy się odzywali, żeby nie przeszkadzać...

— On ma rację, Aliku! Tak z pewnością będzie lepiej! — powiedziała Natasza.

„Nie przestała pokładać we mnie nadziei!" Znów przeszły mnie ciarki, ale tym razem ze szczęścia. „Muszę teraz mocno trzymać ten koniec nitki, który, zdaje się, mam w ręku!" — postanowiłem.

— O, nie bój się spłoszyć mojej myśli! Wszystkie te drobiazgi, wspomnienia działają na nią wzmacniająco jak odżywka... Może Gleb opowie nam teraz jakieś fakty z życia swego dziadka. Jak to robił przedtem...

— No, więc tutaj dziadek... „Tajemnicę starej willi..." — zaczął Gleb plącząc się. Znów nie kończył zdań. — W tej piwnicy... O, tam, na tym blacie stołu...

Odłączył okrągły blat od oplecionych słomą nóg stolika.

Pod spodem, ujęty w czarną ramę, widniał jakiś napis. Gleb przeczytał: «Tu w ciągu jednego roku, trzech miesięcy i siedmiu dni została napisana powieść „Tajemnica starej willi"».

— Pamiątkowy blat — zauważył Nieboszczyk.

— Tak, tak, tak — powtórzył w zamyśleniu. Natychmiast wszyscy umilkli.

Natasza Kułagina, która stała za moimi plecami, popatrzyła na mnie z nadzieją w oczach. Wyczułem jej wzrok potylicą i sercem. Sparzył mnie!

— A zatem twój dziadek wprowadzał się tu, w tej piwnicy, w odpowiedni nastrój? — spytałem Gleba. — Nie spiesz się, najpierw pomyśl...

— Tak... wprowadzał się...

— Napędzał sobie strachu, jak się wyraził Bratanek, tak? Namyśl się dobrze, nie spiesz się...

— Tak... napędzał...

— Niech nikt nie rusza się z miejsca! — rzuciłem rozkazująco.

I mężnie dałem nura w ciemność...

Rozdział VIII

w którym na koniec... zresztą sami zobaczycie!

Mocno objąłem rękami szkielet. I poniosłem go przez gęsty, nieprzejrzany mrok ku niepewnie majaczącemu światełku żarówki.

Niewiele miałem do przejścia. Ale przecież długa droga może się wydać krótka i łatwa, a krótka, przeciwnie — długa i uciążliwa. Wszystko zależy od bagażu. Jeżeli są to jedynie wesołe i radosne myśli, wtedy łatwo, ale gdy w ramionach dźwiga się szkielet...

O, ile niespodziewanych i głębokich myśli nawiedziło mnie owego dnia! Sądzę, że niektóre były nawet godne uwiecznienia w brulionie Nataszy Kułaginy. „Może kiedyś stanie się on naszym wspólnym brulionem — marzyłem. Będziemy po kolei zapisywać w nim swoje głębokie uwagi. A potem je odczytywać... Na głos, lecz osobno, tylko dla siebie. I będziemy wzajemnie wszystko o sobie wiedzieli! Chociaż tak absolutnie wszystko raczej nie jest konieczne, ale, na przykład, najtajniejsze... zaraz... jak to się nazywa? Najtajniejsze „poruszenia duszy"! To ostatnie

określenie przeczytałem ostatnio w książce. Bardzo mi się podobało. „Poruszenia duszy!" A więc dusza może się poruszać. Nigdy bym nie przypuszczał.

O, gdybym wiedział, w jakim kierunku zdąża jej dusza, natychmiast wysłałbym moją w tym samym. I nasze dusze by się zderzyły... Raczej spotkały. Albo zetknęły!" — marzyłem tuląc do siebie szkielet.

Kłuł mnie czymś ostrym w rękę. Nie mogłem się zorientować po ciemku, co to takiego.

„Kiedyś był to człowiek — snułem rozważania. — Chodził w garniturze, myślał, urywał się z lekcji, zdawał egzaminy... Może nawet kochał. Jak ja! Czy za ileś tam lat..."

Nagle wyrósł przede mną jakiś wielki i ciemny kształt. Pochyliłem się i spojrzałem nań skroś żebra, jak przez szpary w sztachetach.

— Kto tu? — spytałem ledwie dosłyszalnie, bo język jakoś odmówił mi posłuszeństwa.

Odpowiedział mi Dativus.

— Alik! Jak to dobrze! Bałem się, że zabłądzisz. Przecież sam jeden...

— We dwójkę ze szkieletem! — Dźwięk jego poczciwego głosu przywrócił mi dar mowy. — Coś tu kłuje... Pomóż mi! Tylko ostrożnie, nie połam mu żeber...

W chwilę później wyjaśniłem już Nataszy Kułaginie, choć nie patrzałem na nią, udając, że mówię do wszystkich:

— To nie Letnik! Analiza logiczna przywiodła mnie do wniosku, że ten szkielet jak i piwnica, jak i cała ta zagadkowość potrzebne były G. Borodajewowi dla natchnienia. Najpierw napędzał strachu sobie, a dopiero potem czytelnikom. Nie ma więc podstaw sądzić, że zamknięto nas po to, by... byśmy doszli do takiego stanu!

Wskazałem na szkielet.

— Skąd ta pewność? — spytał Nieboszczyk.

Doświadczone oko mogło niemal bezbłędnie odgadnąć, że Nieboszczyk bardzo boi się śmierci. Bynajmniej nie miał zamiaru mnie skompromitować. Chciał tylko, żebym go przekonał, uspokoił. Kiedy ktoś pokłada w tobie nadzieję, liczy, że właśnie ty go obronisz, dodasz mu otuchy, jest to rzecz bardzo przyjemna. Ale zarazem trudna!

Ileż niespodziewanych spostrzeżeń i wniosków nawiedziło mnie w tej piwnicy!

— Dlaczego jesteś pewny, że to Letnik? — ponownie spytał Nieboszczyk. A wszyscy czekali, bym odpowiedział na to pytanie.

— Skąd ta pewność? Po pierwsze, analiza logiczna. A po drugie...

Urwałem spostrzegłszy nagle co mnie kłuło w rękę, gdy niosłem szkielet.

— Patrzcie! Patrzcie wszyscy! Widzicie? Tabliczka z numerem! I jeszcze płytka metalowa. Coś tu napisane...

Podniosłem płytkę do oczu i przeczytałem głośno: „Drogiemu pisarzowi w podzięce za odczyt. Od gabinetu biologicznego podopiecznej szkoły".

— To podarunek! — wykrzyknąłem. — Był opiekunem tej szkoły, wygłaszał odczyty i dali mu prezent. Może w tym gabinecie biologicznym były dwa szkielety... Więc podzielili się z pisarzem! Przecież mu to było potrzebne dla natchnienia. Teraz jesteście przekonani? Letnik nie mógł przecież żyć z tabliczką i blaszką w brzuchu! I w dodatku z drutem, którym są przytwierdzone!

Patrzyli na mnie z wdzięcznością. Przynajmniej tak mi się zdawało... Może nawet z uwielbieniem. W półmroku trudno się dokładnie zorientować.

C.d.n

Tłum. I. PIOTROWSKA
Rys. B. RUTKOWSKA

SZKOŁA w BOJANOWIE

NAPRZECIWKO małego budyneczku stacji w Bojanowie stoi ogromny, ciemnoszary gmach — Państwowe Technikum Nasiennictwa i Hodowli Roślin. Budowla to niemal historyczna. W 1907 roku założono tu niemieckie Gimnazjum Rolnicze, potem, w 1922, powstała w tym budynku pierwsza w niepodległej Polsce Państwowa Średnia Szkoła Rolnicza.

Dyrektor Technikum, pan Lucjan Kryszkiewicz, z dumą wyciąga gruby tom — Złotą Księgę Szkoły. Pod datą 12 stycznia 1969 roku wpisany jest dekret Ministra Rolnictwa o nadaniu szkole imienia Powstańców Wielkopolskich. Szkoła otrzymała wtedy swój sztandar.

PRAWO JAZDY

Bojanowo to małe miasteczko, siedziba Gromadzkiej Rady Narodowej. Ma niewiele ponad 3 tysiące mieszkańców, więc „żacy" stanowią zdecydowanie dużą zbiorowość. Wszędzie ich pełno. Właśnie chodnikiem maszeruje kilkuosobowa grupka wymachująca teczkami.

— Dokąd idziecie? — pytam. — Przecież jest 10 rano, trwają lekcje...

— My na traktor — odpowiadają.

Tak uczniowie nazywają lekcje z przedmiotu o nazwie — mechanizacja rolnictwa. To bardzo ważny przedmiot — dobra orka oznacza dobry urodzaj.

Przedmiot ten jest wykładany we wszystkich klasach. Natomiast w klasie III uczniowie uzyskują prawo jazdy na ciągnik i na motocykl. Obowiązkowo! Dziewczynki też. Nie jest to takie łatwe — trzeba ciągnik przygotować do jazdy, a podczas tzw. przeglądów technicznych trzeba znać na pamięć całą masę części składowych mechanicznego pługa...

Na podwórku stoi Ursus C—330. Dzisiaj będzie pierwsza próba jazdy. Przy ciągniku dziewczynka w niebieskiej chusteczce. To Ania Ratajczak — mówi Florian Mielcarek. — Jest najlepszą uczennicą z mechanizacji.

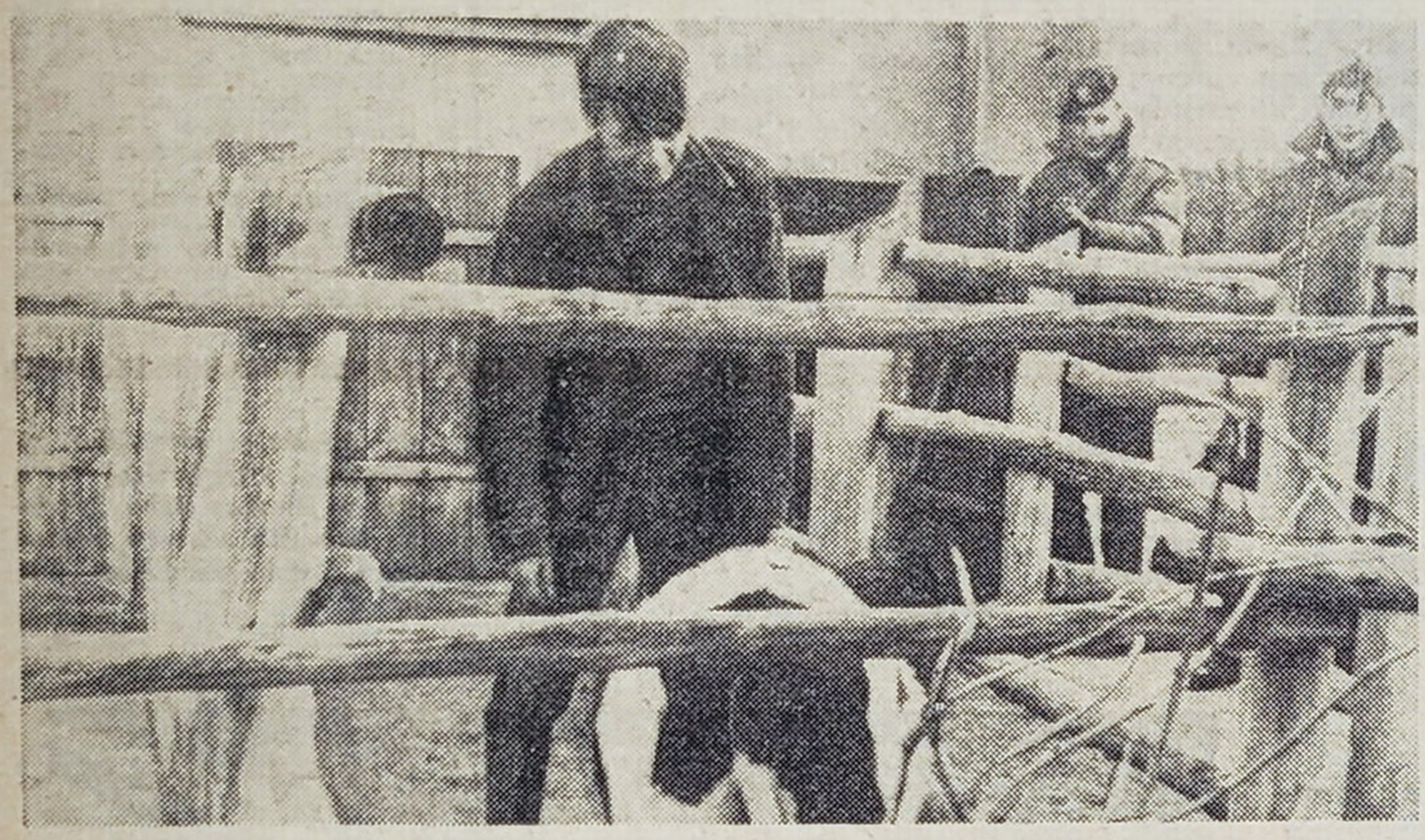

Leszek ma dzisiaj dyżur w oborze. Ma pod swoją opieką 33 cielątka, z których najmłodsze ma... 5 dni. Trzeba je wszystkie nakarmić, napoić, wyprowadzić na spacer.

KOPCE

Moi przewodnicy — Zygmunt Stachowski i Rysiek Kraul — skręcili nagle w stronę pól, do Gołaszyna.

— To nasze gospodarstwo szkolne — mówią.

Gołaszyn ma 390 hektarów. Gospodarstwo szkolne — mimo że tak duże, zatrudnia tylko 10 osób stałego personelu. Większość prac wykonują sami uczniowie w ramach praktyk i dyżurów Dyżur na polu ma cała klasa, trwa on 8 godzin.

Wichura tego dnia była niesamowita. Wiatr przewiewa na wylot, a w rękach uczniów trzeciej klasy łopaty.

— To jest fantastyczna szkoła. Szkoła życia i pracy — przekrzykuje wiatr pan Józef Kecia, kierownik gospodarstwa, absolwent bojanowskiego Technikum. — Nasi uczniowie mają taką praktykę, że mogliby stanąć w zawody ze studentami Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego.

LESZEK

Oprócz obowiązujących wszystkich dyżurów na polu, każdy uczeń III klasy przez 7 dni w roku pracuje przy hodowli. W gospodarstwie oprócz ciągników są i konie, i krowy, nie mówiąc już o niezliczonej ilości owiec.

— Stan cielętnika na dzień dzisiejszy: 33, najmłodsze ma 5 dni — melduje dyżurny, Lech Kempa z III b.

— Co należy do twoich zadań?

— Daję im jeść, kładę nową ściółkę, sprzątam... Nawet się nie obejrzę i minie te 13 godzin, bo dyżur w hodowli trwa od 4.30 rano do 18 wieczorem. Jeden dzień jestem w cielętniku, potem jeden dzień w oborze i jeden w owczarni. Najzabawniejsze są małe owieczki. Mają powypisywane na futerku swoje numery, aby się nie pomyliły, i aby można je było jakoś policzyć.

— Czy taki dyżur nie jest ciężki?

— My nazywamy go między sobą „najtrudniejszym egzaminem", ale ja bardzo lubię zwierzęta...

WAKACJE

Rysiek wyciągnął książkę do niemieckiego.

— Uczycie się niemieckiego? — spytałam.

— Dodatkowo. U nas obowiązkowy jest tylko rosyjski, ale wielu uczy się i niemieckiego. Warto!

— Dlaczego?

— Nasza szkoła współpracuje ze szkołą rolniczą z NRD. Gdy są letnie praktyki wakacyjne, to oni stamtąd przyjeżdżają do nas, a od nas cała grupa wyjeżdża do NRD. Oczywiście, jadą tylko ci, którzy mówią po niemiecku. Bractwo uczy się więc na wyścigi!

CZAS WOLNY

— Zaraz będę musiał iść na zebranie Klubu Młodych Polityków, do którego należę. Prowadzi go pan od historii — mówi Zygmunt.

— U nas każdy może znaleźć coś interesującego dla siebie. Jest ZMW, są drużyny harcerskie, kluby: mechanizatorów, zootechników, agrotechników, polityków. Mamy również chór i sekcję muzyczną. Jak się człowiek wciągnie do pracy, to nawet nie zauważamy, że jesteśmy w takiej małej dziurze, gdzie nawet kina nie ma. Ale kino organizuje nam Rada Młodzieżowa. Rada wybierana jest co roku — teraz przewodniczy jej Jurek Michalski z piątej.

A CO POTEM?

Większość naszych absolwentów — mówi dyrektor Kryszkiewicz — pracuje w centralach nasiennictwych, w stacjach hodowli roślin... Sporo, bo około 15 procent studiuje dalej.

Połowa uczniów szkoły to dziewczynki. Aż 30 procent uczniów pochodzi z miasta.

— Z czego był egzamin wstępny — pytam uczniów.

— Z języka polskiego, matmy i biologii.

— Nie żałujecie, że tu przyjechaliście?

— Nie! — słyszę w odpowiedzi.

EWA KŁOSIEWICZ
Foto: autorki

Starsi uczniowie, którzy mają już prawo jazdy, stają się instruktorami młodszych kolegów. Ciągnik to skomplikowana maszyna.

Zwykła linijka wystarczy, aby zmierzyć długość kłosa pszenicy. Uczniowie klasy III przeprowadzają jej badania biometryczne.

SZKOŁY ROLNICZE

Dziś udzielamy informacji tym wszystkim czytelnikom, którzy pytają nas o różne szkoły rolnicze.

Zawód rolnika oraz technika określonej specjalności rolniczej można zdobywać w trzech rodzajach szkół:

1. DWULETNICH SZKOŁACH PRZYSPOSOBIENIA ROLNICZEGO, które przeznaczone są dla młodzieży pragnącej pozostać na wsi i pracować w gospodarstwie swoich rodziców. Absolwenci tych szkół mogą uczyć się dalej.

2. ZASADNICZYCH SZKOŁACH ROLNICZYCH, które dzielą się na: a) dwuletnie szkoły rolnicze, ogrodnicze, rybackie, b) trzyletnie szkoły mechanizacji rolnictwa. Przyjmuje się do nich młodzież w wieku od 15 do 18 lat.

Przy wszystkich zasadniczych szkołach są internaty. Wyżywienie jest odpłatne. Dobrzy uczniowie mogą ubiegać się o stypendia.

Do zasadniczych szkół rolniczych egzaminów wstępnych nie ma. W przypadku, jeśli kandydatów jest bardzo dużo, może być przeprowadzony tylko egzamin ustny.

3. TECHNIKACH ZAWODOWYCH, do których przyjmowani są kandydaci w wieku 15-18 lat. Aby dostać się do tych szkół, należy zdać egzamin wstępny — pisemny i ustny z języka polskiego i matematyki oraz, zależnie od specjalności, ustny: — z fizyki, chemii, geografii lub rysunku odręcznego.

- **Absolwenci otrzymują świadectwo dojrzałości i tytuł technika obranej specjalności.**
- **PIĘCIOLETNIE TECHNIKA kształcą w kierunkach: rolniczym, hodowli roślin i nasiennictwa, rolniczo-łąkarskim, ochrony roślin, hodowlano-drobiarskim, pszczelarskim, ogrodniczym, mechanizacji rolnictwa, rybackim, melioracji wodnych, hodowlanym, rolniczo-suszarniczym, weterynaryjnym.**
- **CZTEROLETNIE TECHNIKA kształcą ogrodników i pracowników rachunkowości rolnej.**
- **Informacji w sprawach przyjęć udzielają bezpośrednio szkoły, oddziały oświaty rolniczej w wydziałach rolnictwa i leśnictwa wojewódzkich rad narodowych, a także powiatowe i wojewódzkie wydziały oświaty. (bs)**

„SWIAT MŁODYCH" — GAZETA HARCERSKA — ukazuje się we wtorki i piątki. REDAGUJE ZESPOŁ. Red. nacz. JERZY MAJKA, tel. 21-15-61. Sekretarz redakcji — 28-25-48. Sekretariat administracji 21-15-61. Wydawnictwo „PRASA MŁODZIEŻOWA I SPORTOWA" RSW „Prasa" Warszawa, ul. Bagatela 14. Biuro ogłoszeń — W-wa, ul. Wspólna 61. Tel. 21-21-29. Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa", W-wa, Marszałkowska 3/5. Prenumerata miesięczna zł 4.00, kwartalna zł 12.00. Wpłaty przyjmują Urzędy Pocztowe i listonosze wiejscy do dnia 15 każdego miesiąca. Wpłat dokonywać również można na konto PKO Nr 1-6-100020 — Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch" Warszawa, ul. Towarowa 28 do dnia 10 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. ADRES REDAKCJI: WARSZAWA, UL. MOKOTOWSKA 24.
Zam. 77 K-83

ToMiK

METEOR LUB KOMETA

OGROMNIE mnie zainteresowała tajemnica niezidentyfikowanego obiektu na Syberii. Mimo iż gorąco pragnąłem, aby owym obiektem był statek kosmiczny — lub impuls światła laserowego wysłanego przez istoty rozumne — muszę tym hipotezom zaprzeczyć.

Może najpierw powiem dlaczego uważam, że nie był to impuls światła lasera. Otóż jak z artykułu wynika, szkody wyrządzone zostały na obszarze dziesiątek kilometrów kwadratowych, a więc pole zniszczenia wynosiło około 100 km kwadratowych. Każdy więc bok pola miał około 10 km. Stąd prosty chyba wniosek, że średnica wiązki światła laserowego wynosi 10 km. W momencie, kiedy zauważono ciało jako małą gwiazdkę, było ono na wysokości 300 tys. km. A ponieważ światło porusza się z prędkością 300 tys. km/sek, to odległość. jaka dzieliła ową „gwiazdkę" od Ziemi, obiekt ten przebył w ciągu 1 sekundy, co było za krótkim czasem, aby spostrzec zbliżanie się jego ku Ziemi.

A propos statku kosmicznego. Z artykułu wynika, że dowodem, a raczej jednym z dowodów na istnienie pojazdu jest to, że obiekt zmienił w pewnym momencie kierunek lotu, co mógłby wykonać tylko człowiek lub automat. Ale równie dobrze i meteor pod wpływem tarcia lub też naporu powietrza mógł zmienić kierunek.

Z tego wszystkiego wynika, że był to meteoryt lub kometa.

Piotr Petrykowski
Toruń
ul. Klonowicza 28/3

MODEL WYBUCHU TUNGUSKIEGO

CHCIAŁBYM dorzucić do dyskusji wyniki pewnego eksperymentu, który co prawda nie rozwiązuje zagadki, ale jest z pewnością nowym krokiem w badaniach.

Otóż tajemnicę wybuchu tunguskiego, który nastąpił w tajdze syberyjskiej, spróbowali wyjaśnić uczeni radzieccy przy pomocy modelu. Zbudowali oni makietę tajgi o powierzchni 6 metrów kwadratowych. Pnie drzew wykonano z cienkich drucików miedzianych o wysokości 3 cm, a korony z cylindrów plastykowych.

Lot ciała meteorowego pozorowała eksplozja odpowiednio zaprojektowanego lontu.

Prawdziwy wybuch tunguski zdarzył się w roku 1908. Potężny wybuch powalił wtedy drzewa na obszarze przeszło 2000 km².

Twórcy makiety tajgi chcieli się przekonać, przy jakim wybuchu uzyska się najlepszą zgodność wyglądu powalonego drucikowego lasu z mapą zniszczeń z 1908 roku. Okazało się, że najwierniej imitowała zdarzenie sprzed blisko 62 lat eksplozja jednorodnego lontu nachylonego pod kątem 20 do 30 stopni i czterokrotnie wzmocnionego w swej części końcowej. W tym wypadku kształt strefy zniszczeń na modelu pokrywał się z zarysem granic zniszczeń w prawdziwej tajdze. Ponadto drzewa z drucików i plastyku zostały przewrócone w tym samym kierunku co drzewa prawdziwe, i co więcej, w epicentrum wybuchu (tj. w miejscu leżącym dokładnie pod punktem eksplozji, która nastąpiła w powietrzu) drzewa modelu, tak jak w rzeczywistości, nie wywróciły się.

Uczeni sądzą, że doświadczenie to pozwoliło odtworzyć kształt fali, jaka powstała w powietrzu w czasie upadku ciała tunguskiego. Ich zdaniem, fala uderzeniowa tego ciała, która pozostawiła ślad w postaci powalonego lasu, była kombinacją fal: kulistej i balistycznej. Powstała prawdopodobnie wskutek przelotu ciała które przed upadkiem na Ziemię rozpadło się na mniejsze części.

Z obliczeń wynika, że tych części należy szukać znacznie dalej niż myśleli dotychczas poszukiwacze śladów ciała tunguskiego. Latem 1965 roku autorzy eksperymentu zlustrowali obszar przypuszczalnego upadku brył i znaleźli kilka polanek, gdzie być może uda się odkopać resztki ciała — naturalnie o ile nie było to jądro komety utworzone z lodu.

Jerzy Kazimierski
Warszawa

RACJĘ MA REDAKTOR WIRSKI

PRZEŚLIJ! Uważam, że w sporze na temat: gwiazdolot czy meteoryt — rację należy przyznać redaktorowi Wirskiemu. Fakty świadczą, że ciało, które 30.VI.1908 roku zderzyło się z Ziemią, prawdopodobnie było nadbolidem. Teoria wybuchu gazu ziemnego nie ma tutaj żadnych szans, gdyż przed katastrofą nie znane ciało zostało zauważone na niebie. Wykluczam też możliwość uderzenie niewielkiej komety. Nie mogłaby ona bowiem zbliżyć się do Ziemi pozostając niezauważoną. Istnieje też możliwość katastrofy na statku kosmicznym należącym do nie znanych nam istot. Ale dlaczego zbliżając się do naszej planety załoga nie nadawała żadnych sygnałów radiowych? Przypuśćmy, że w Ziemię uderzył impuls światła laserowego. Obca cywilizacja musiałaby jednak spostrzec, że Ziemianie nie zrozumieli nadanego sygnału. Czyż miała ona zrezygnować z nawiązania kontaktu? Dlaczego nie nadano nowego sygnału? Pozostaje już tylko jedna możliwość: meteor. Są ich przecież w Układzie Słonecznym miliony, a więc o zderzenie z Ziemią nie jest tak trudno.

„Marsjanin" — Wojciech Cisowski. kl. VII
Sielpia Duża. pta Kurzelów

KATASTROFA STATKU

JESTEM osobiście zwolennikiem teorii o katastrofie statku kosmicznego. Pokrótce pragnę to udowodnić.

W końcu czerwca francuski astronom zauważył przez teleskop nowe maleńkie ciało niebieskie. Astronom nie zanotował swojego odkrycia w kryptogramie, jedynie tylko w gazecie umieszczona została wzmianka o jego dostrzeżeniu. Na wzmiankę tę zwrócono uwagę dopiero po wielu latach. Gdyby to był meteoryt, spadek jego powinien odbyć się znacznie wcześniej, aniżeli nastąpił w rzeczywistości.

Meteor dostrzeżono nad Syberią rano 30.6.1908 r. Niektórzy z naocznych świadków zaznaczyli, że „meteor" był ogromny, kształtu podłużnego lub walcowego, zwężający się ku jednemu z końców. „Bolid" leciał opuszczając się łagodnie. Gdy zniknął z oczu, słychać było trzy szczególnie silne wybuchy, a następnie przeciągły łoskot. Spadek „meteoru" był przyczyną szeregu zjawisk w atmosferze. W ciągu kilku nocy po upadku dawało się zauważyć, niezwykłą jasność nieba oraz silnie świecące obłoki.

Po dotarciu ekspedycji na miejsce upadku (kierownikiem jej był L. A. Kulik) rozpoczęły się pierwsze badania i poszukiwania. Na przestrzeni wielu kilometrów kwadratowych las był powalony. Zwalone drzewa tworzyły „wachlarz", który zadziwił uczonych. „Jest to — jak mówi Kulik — jedyny na świecie wypadek promienistego powalenia lasu przez meteor".

Kulik odkrył ponad kilkadziesiąt lejów i sądził, że znajdzie w nich odłamki „meteoru", lecz w lejach nic nie znaleziono! Podczas drugiej wyprawy Kulika zabrano ze sobą czuły przyrząd magnetyczny, aby wykryć pod ziemią obecność żelaznego „meteoru". Tymczasem przyrządy niczego nie wykryły.

Według mnie obiekt, który 30.6.1908 r. spadł w Syberii, mógł być tylko i wyłącznie rakietą kosmiczną.

Włodzimierz Szpakowski
Płock
ul. M. C. Skłodowskiej 1/21

NIE SAMI W KOSMOSIE

WIELE czytałem o prawdopodobieństwie odwiedzenia Ziemi przez przedstawicieli innych cywilizacji zamieszkujących kosmos. Problemem tym pasjonuję się od dawna i popieram stanowisko redaktora Zbigniewa Pawłowskiego.

Bardzo zainteresowała mnie teoria pisarza radzieckiego A. Kazancewa, oparta na istniejących na naszej planecie, a nie wytłumaczonych dotąd śladach. Pisze on między innymi o dziwnym kalendarzu astronomicznym Majów, który to kalendarz składał się z 290 dni. Rok składał się z 12 miesięcy, 10 miesięcy po 24 dni i dwóch po 25 dni. Kazancew wysuwa tezę, że może być to kalendarz pozaziemski.

W jednej z piramid Majów w Palenque znajduje się płyta z płaskorzeźbą przypominającą pocisk, wewnątrz którego siedzi człowiek. Z punktu widzenia współczesnej techniki bardzo łatwo można stwierdzić, że jest to latający aparat z turboodrzutowym silnikiem.

Odrębną dla mnie sprawą są piramidy egipskie i ludów amerykańskich. W jaki sposób został przeniesiony z lądu afrykańskiego na ląd amerykański sposób i styl budowy tych pomników zamierzchłej kultury? Jak wznoszono piramidy z kilkutonowych bloków skalnych w czasie, gdy w Ameryce nie znano koła? Mogło to być możliwe dzięki pomocy „przybyszów z gwiazd", którzy według podań Majów i Inków byli „białolicymi dziećmi słońca", a przybyciu ich „towarzyszyły burze bez deszczu". Dzięki tym nikłym śladom można wierzyć w pobyt na Ziemi przybyszów z kosmosu i mówić o ewentualnych lotach „latających talerzy". W szybkim tempie badamy kosmos i być może jesteśmy coraz bliżej rozszyfrowania tej tajemnicy.

Stanisław Orawiec
Sandomierz
ul. Manifestu Lipcowego 6/6

PS. Proszę uprzejmie kolegów o korespondencję ze mną na następujące tematy: podbój kosmosu na znaczkach polskich oraz ewentualny pobyt przybyszów z kosmosu na Ziemi.

TAJEMNICA SYBERYJSKIEJ TAJGI

A WIĘC stało się tak, jak przypuszczałem. Przedstawione w ostatnim ToMiK-u dwa stanowiska redaktorów Pawłowskiego i Wirskiego dotyczące tajemnicy meteorytu tunguskiego wywołały prawdziwą burzę. Otrzymałem od was dziesiątki listów, których autorzy prezentują krańcowo różne stanowiska.

Każde jednak poparte jest rzeczowymi argumentami świadczącymi o dobrej znajomości tematu. Tak właśnie powinna wyglądać dyskusja na poważne problemy naukowe. Nie oznacza to, iż zgadzam się ze wszystkimi wypowiedziami prezentowanymi na tej stronie, ale każdy przecież ma prawo zająć własne stanowisko.

Dziś jeszcze za wcześnie na wyciąganie wniosków — dyskusja dopiero się zaczęła. Czekam na dalsze wypowiedzi. Proszę jednak o krótkie i zwięzłe listy, gdyż chciałbym, aby jak najwięcej dyskutantów mogło zabrać głos na łamach ToMiK-a.

Prezes ToMiK-a
ST. BOROWIECKI

PS. Serdecznie dziękuję wszystkim za życzenia noworoczne. Przyjmijcie również i ode mnie w Nowym Roku życzenia spełnienia Waszych marzeń i planów — zarówno tych ziemskich jak i kosmicznych.

St. S.